Rozmaitości

Dnia 8. Października **Nr 41.** 1836 Roku.

ŻYWY-UMARŁY.

Zdarzenie prawdziwe z pamiętników pewnego angielskiego lekarza.

Niebawem miała uderzyć czwarta, a ja do mojéj prelekcyi nie byłem jeszcze przygotowany. Upał był niezmierny, powietrze parne groziło burzą; czułem się mdłym i niespokojnym, i jakieś niezwykłe przejmowało mię draźnienie nerwów. Przez ciąg zeszłego tygodnia nie miałem ani jednéj chwili spokojnéj, wielu niebezpiecznie chorych, których stan wymagał nieustannéj staranności, wzywało mię do siebie. Szczególniéj jeden z nich, podpora licznéj rodziny, wielce mię niepokoił, i najżywsze obudzał we mnie spółczucie. W takiém usposobieniu umysłu wsiadłem do powozu, w chęci udania się do sali prelekcyi publicznych, gdy w tém oddano mi niezapieczętowany bilecik. Otwiéram go co prędzéj, i wyczytuję, że nieszczęśliwy H*, który mię tak mocno obchodził, umarł. Wiadomość ta dotknęła mię głęboko. Zaledwie godzina temu jak go ostatni raz widziałem, a postrzegłszy widoczne polepszenie się jego zdrowia, ośmieliłem się był zrobić jakiś cień nadziei rodzinie nieszczęśliwego... Ale niestety! nadzieja ta trwała zbyt krótko, a jam nawet nie spodziéwał się tak rychło być zawiedzionym!

Aby pojąć ów głęboki, gorący udział, jakim jest lekarz dla niektórych swoich cierpiących przejęty, trzeba tego samemu doświadczyć. Udział ten niezawisłym bywa od jego osobistych skłonności; równie obcy, jak i przyjaciel obudzić go może. W takim przypadku nié ma się na względzie chorego, lecz chorobę. Może nikt tak dalece jak ja nie posunął tego uczucia; owa odpowiedzialność, którą częstokroć mimowolnie przyjmujemy na siebie; owo usiłowanie otrzymania pomyślnego skutku tam, gdzie niepodobieństwo zachodzi; owa niespokojność serca, z jaką oczekujemy tychto chwil przesilania, które zmieniając charakter choroby, pomnażają lub zmniejszają natężenie onéj; owo zwątpienie, które się w nas wzmaga w chwili okazania się symptomatów, odbiérających ozdrowienia nadzieję, a najbardziéj ów ostatni boleśny obowiązek lekarza, gdy musi oświadczyć krewnym, uwodzącym się jakąkolwiek nadzieją, że sztuka nic tu nie zdoła, że wszystkie wyczerpane środki; każde z tych uczuć było nową i okropną dla mnie męczarnią. Długi czas w skrytości usiłowałem zwalczyć to, co za słabość poczytywałem w sobie; lecz nigdy przezwyciężyć się nie mógłem, a stan mój tak się dalece pogorszył, że jak nieszczęścia jakiego lękałem się być wezwanym do kogoś bardzo chorego. Z tego można osądzić, jakie wrażenie uczyniła na mnie ta świéżo odebrana wiadomość. Cios tém dotkliwszy był dla mnie, że nié miałem nawet pociechy przewidzieć tego nieszczęścia, i przygotować rodzinę chorego do zniesienia okropnéj boleści... Trzymając w ręku papiér, w który wlepiłem oczy, wpadłem w jakieś machinalne otrętwienie, i dopiéro na głos mego woźnicy, pytającego mię poraz trzeci, gdzie ma jechać, przyszedłem do przytomności. Po chwili namysłu, albowiem myśli moje w zupełném były rozpierzchnieniu, odpowiedziałem: »Do kolegijum.«

Dotąd miałem salę prelekcyi więcéj za miejsce przyjemnéj zabawy, niż mozoły; nie raz to śród utrudzających obowiązków mojego stanu z niecierpliwością wyglądałem téj chwili, w któréj miałem stanąć w gronie moich słuchaczy; oderwana teoryja umiejętności lekar-

skiéj była wypoczynkiem dla mojego ducha. Tego dnia, nie wiedząc czemu, doznałem jakiéjś tęsknéj trwożliwości obcéj umysłowi memu. Wypadki dnia ostatniego tak mocno mną wstrząsnęły, żem czuł niezbędną potrzebę spoczynku i samotności. Przyszedłszy do drzwi wchodowych, rzuciłem wzrokiem w salę prelekcyi, która nigdy jeszcze nie była tak pełną; idąc między rozmawiającémi słuchaczami, usłyszałem nazwisko sławnego lekarza, który się miał znajdować w ich gronie. Obiedwie te okoliczności, w każdym innym czasie przyniosłyby mi największą radość, a teraz obudziły tylko niespokojność, a ta najwyższego doszła stopnia, kiedym opatrzył się wchodząc do sali i spostrzegł, żem swoje zeszyty zapomniał w powozie, który odprawiłem, mając zamiar pieszo wracać do domu. Posyłać po nie było już za późno; coraz niespokojniéjszy i niepewny, co w tym kłopocie począć, otwarłem swój pulijares, i przebiegłem mnóstwo bez ładu zapisanych tam uwag: szczęśliwym trafem oczy moje padły na nowe i ciekawe postrzeżenia o obłąkaniu umysłu; co spowodowało mię wyłożyć ten przedmiot bez poprzedniego przysposobienia się. O wszystkiém, co się poźniéj stało, zostało mi tylko jakiéś zawikłane wyobrażenie. Przypominam jednak sobie te huczne oklaski, któréml przy wejściu mię powitano, a które podwoiły się, skoro postrzeżono pomieszanie moje, pochodzące z drażliwości. Kiedy cisza nastała w sali, zebrałem całą odwagę i zacząłem wykładać. Nie mało mię kosztowało mozołu zdobyć się na pierwsze wyrazy związek mające; jąkałem się i zacinałem za każdém słowem. Obawa stania się ciemnym i niedokładnym w wystawieniu przedmiotu, sprawiła żem często jedno i toż samo powtarzał; przez długi czas z jednego wpadałem w drugie, i krążyłem w kole, zawsze tam powracając, zkąd wyszedłem. Nakoniec nabrałem otuchy, a natężona uwaga, z jaką mnie słuchano, dodała mi cokolwiek zaufania w siły swoje. Niebawem postrzegłem, że gruby obłok, ćmiący władzę mojego umysłu, powoli ustępował; zacząłem jaśniéj pojmować, słowa same przez się płynęły mi w usta, porównania, wyrażenia, pojawiały się obficie, i łatwo mi było z nich najtrafniejsze wybiérać. Im głębiej się zapuszczałem, tém więcéj mocy nabiérały moje wnioski, więcéj pewności moje dowody; płynność z jaką mówiłem samego mnie zadziwiała. Z największą łatwością rozwiązałem kilka subtelnych, arcytrudnych zagadnień, o których w każdym innym czasie rozprawiaćbym się nie był odważył. Tak prosto, tak jasno pojmowałem je, że miałem to sobie za zabawkę. Z zadziwu przechodziłem w zadumienie; pamięć moja, na którą zawsze narzekałem, że leniwa i niewdzięczna, nagle stała się nadzwyczaj bystrą i wierną, stawiąc mi w umyśle, jak w źwierciedle, najdrobniéjsze wypadki długiego mego zawodu. Jeżeli przywodziłem powagę jakiego pisarza, to z taką dokładnością, że ktoby myślał, iż dzieło jego mam przed sobą. Zdarzenia, anegdoty, przybywały moim teoretycznym objaśnieniom w pomoc. Przypadki obłąkania, które widziałem w mojéj młodości, a o których mniemałem, żem od dawna zapomniał, przedstawiały się w mym duchu, jakby wczorajsze. Corazto więcéj przybywało mi zapału; szybkość z jaką pomysły jedne następowały po drugich, obudziła władzę ducha mego w najwyższym stopniu; wyrazy idące mi w pomoc do oddania pomysłów, płynęły z ust same przez się, nie zadając mi pracy w ułożeniu onych; wykładałem jasno i z zadziwiającą szybką płynnością. W tém uczułem pewien rodzaj instynktowego wzdrygnienia się. Zdało mi się, jakby jakiéś nieznane niebezpieczeństwo, niepodobne do uniknienia, miało się na mnie zwalić. Podobien byłem owemu człowiekowi, który porwany prądem bystréj rzéki, postrzega przed sobą zarazem szumiący pianami wodospad, i oczekuje na śmierć bez sposobu uniknienia onéj. Nadprzyrodzona siła, utrzymująca mię dotąd, zaczęła opuszczać mię powoli; pomysły moje zwikłały się, obce postacie, fantastyczne kształty wiły się przed mémi oczyma; przedmioty, o których mówiłem, ożywiły się, i obskoczyły mię ze wsząd; głęboka cisza rozległa się w sali, a wszystkich oczy wlepiły się we mnie. Nagle okropna myśl rodzi się we mnie, konwulsyjny, rozgłośny śmiéch wymyka się z piersi mojéj, a ja wołam: »Patrzcie na mnie! wszak widzicie, ja także obłąkany jestem!« Słuchacze moi zerwali się piorunem wszyscy razem... krzyk przestrachu i trwogi ze wszystkich ust się rozległ... co potém się stało — nie wiem.

Gdym znowu do pamięci powrócił, leżałem w łóżku. Oglądnąłem się i wszystkie przedmioty poznałem, jako dobrze mi znane; na spuszczone do połowy u okien firanki padał czerwoniawy promień słoneczny; poznałem, że dzień się miał ku nocy. W pokoju nie widziałem nikogo, a kiedym usiłował przypomnieć sobie, jak ja się tu znajduję, owładło mię osłabienie, przymknąłem oczy i chciałem zasnąć. Przez czyjeś wnijście do pokoju zbudzony zostałem; byłto mój przyjaciel, doktor G., zbliżył się do mego łóżka, i przez kilka minut bacznie się we mnie wpatrywał. Podczas tego wpatrywania się postrzegłem, że pobladł na twarzy; a kiedy mi palce na żyle pulsowéj położył, zadrzała mu ręka i wyrzekł ze smutkiem: »Boże mój! ach, jakże on zmieniony!« Poczém usłyszałem głos pytający za drzwiami: »Czy mi wolno wejść do pokoju?« Lekarz nie dał odpowiedzi, a żona moja po cichu weszła. Wyglądała blado i nędznie, oczy jéj poczerwienione pływały we łzach. Schyliwszy się nade mną, łzy jéj gorące kroplami padały na moje czoło; potém ująwszy mię za rękę, zbliżyła usta do mego ucha i rzekła: »Williamie, poznajesz mię?« Po tém pytaniu długa nastała cisza. Usiłowałem odpowiedzieć, lecz nie mogłem ani słowa wyjęknąć; przynajmniéj jakimkolwiek znakiem chciałem jéj dać do zrozumienia, że ją poznaję; patrzałem się w jéj oblicze... jednakże ona ze łkaniem zawołała: »Ach! on mię już nie poznaje!« i tak wszelkie moje usiłowania spełzły na niczém. Potém doktor wziął moję żonę za rękę, chcąc ją wyprowadzić: »Jeszcze nie, jeszcze nie!« rzekła opierając się; a ja zapadłem w zupełną nieczułość. Nakoniec kiedym znowu odzyskał wiedzę, zdawało mi się, że się ze snu głębokiego ocknąłem. Cierpiałem jeszcze, lecz mniéj cokolwiek; nadzwyczajna niemoc nastała w miejscu gorączkowego draźnienia. Oczy moje pałały ogniem i powlokły się, jakby zasłoną; nie mogłem już poznać, czyli kto jest przy mnie w pokoju. Powoli jednakże przedmioty stawały się mniéj niewyraźnémi; widziałem nawet doktora, siedzącego przy mojém łóżku. Nachylił się nade mną i rzekł: »Jestże ci teraz lepiéj Williamie?« Dotąd bezskuteczne moje natężenia się, aby coś odpowiedzieć, nie sprawiły mi jeszcze ani obawy, ani trwogi; lecz w tym momencie niepodobieństwo wytłumaczenia moich chęci, stało się dla mnie męczarnią. Potrzegłem też, że moje władze umysłowe stopniowo ubywały, i że śmierć unosiła się nade mną. Wytężenie z jakiém chciałem się wydrzeć z tego snu śmierci, musiało być bardzo gwałtowne, bo zimny pot wystąpił mi na całe ciało; usłyszałem szum taki, jak gdyby uszy moje napełniały się wodą, a w członkach uczułem kurczowe drganie. Pochwyciłem za rękę doktora, przycisnąłem ją z sił wszystkich, podniosłem się, obłąkany wzrok rzuciłem do koła. Stan ten trwał bardzo krótko; niebawem ustało we mnie tchnienie, puściłem rękę, którąm trzymał, oczy mi się znowu przywarły, i ociężały upadłem na łoże. Jedyne przypomnienie, które zachowałem o tém, co poźniéj zaszło, były wyrazy stroskanego doktora G., który mając mię za umarłego, zawołał: »Pokój mu, już przestał cierpieć!«

Wiele upłynęło godzin za nim powróciła we mnie świadomość o sobie samym. Pierwsze uczucie, jakiego doznałem, było chłodne powietrze, przenikające zimnem twarz moję; zdawało mi się, jakby okna mego pokoju były otwarte. Nie mogłem podnieść powiek, tak niezmierny ciężar przyciskał je z góry; ramiona moje leżały wyciągnięte przy mojém ciele; a chociaż to położenie było niewygodne i przymuszone, nie mogłem go jednak odmienić; chciałem coś mówić, lecz usiłowanie nie wzięło skutku. W kilka chwil potém usłyszałem kroki wielu po pokoju chodzących osób, postawiono coś ciężkiego na ziemi, a ktoś głosem chrapliwym te wymówił wyrazy: »William H* wieku lat 38; ja go miałem za starszego.« Słowa te przywiodły mi w pamięć wszystkie okoliczności mojéj choroby, poznałem, żem żyć już przestał, i że około mnie czyniono przygotowania do mego pogrzebu. Umarłżem w istocie? Ciało wprawdzie było zimne i martwe, ale myśl jeszcze nie zgasła. Jakżeżto się stać mogło, aby czucie przemieszkiwało jeszcze w zimnych zwłokach, do ziemi przeznaczonych, kiedy wszelki ślad życia zniknął zewnętrznie? O myśli okropna!... Boże! byłżeto sen? Nie, wszystko działo się w rzeczywistości, przypominam sobie ostatnie wyrazy doktora, który zanadto dobrze znał się na znakach śmierć poprzedza-

jących, aby go lada pozór omylił... Żadnéj, żadnéj dla mnie nadziei! Czułem jak mię wkładano do trunny... W języku ludzkim nie masz wyrazów na oddanie całéj okropności téj chwili trwogi śmiertelnéj.

Jak długo zostawałem w tym stanie — nie wiém. Cisza grobowa, panująca w pokoju, znowu przerwana została; poznałem, że kilku z moich najlepszych przyjaciół przyszło, aby raz jeszcze mię widziéć, za nim wieko od trunny na zawsze mię nakryje. Tu stanęła mi w umyśle cała okropność tego, co mię czekało! W ciągu jednéj minuty serce moje przeszło przez wszystkie stopnie męczarni całego wieku cierpień. »Jako!« rzekłem sam do siebie, »czyliż wszystko we mnie zaumarło, tak dusza jak i ciało, które ożywiała? Myśli jakie mam, dowodzą przecież o życiu w całéj jego sile i dzielności. Cóż się stało z moją wolą działania, mówienia, widzenia, życia? Wszystko we mnie usnęło i ustało, jakbym nigdy nie żył. Czyliżto nerwy przestały pełnić rozkazy mózgu, czemuż te szybkie posłańce duszy opierają się teraz wykonywać jéj wolę? Przyzwałem w pamięć kilka przykładów cudownéj dzielności woli wtenczas, kiedy zebrana w jedno ognisko działa pod wpływem wielkiéj konieczności. Tak jest, pomyśliłem w uniesieniu radości, tak, wola życia da ci moc do życia; tylko wtenczas, kiedy ta zdolność w nas ustaje, wtenczas tylko śmierć bierze przewagę; to mi dało otuchę wskrzeszenia siebie siłą własnéj woli. Lecz niestety! Ze zgrozą dziś jeszcze pomnę jak chwile upływały szybko, jak z przygotowań poznałem, że mię miano włożyć do trunny i zamknąć na wieki. Nadaremnie gwałtem natężałem się chcąc nadąć piersi i odetchnąć. Boże mój! przestrach daleko żywszy ozionął mię niż pierwéj. Słyszałem wbijanie goździ w deski mojéj trunny... rozpacz!«

W téj chwili wszedł do pokoju pan E*, najlepszy i najdawniéjszy z moich przyjaciół. Długą odbył on podróż, aby mię, swego towarzysza młodości, raz jeszcze przed śmiercią pożegnał. Rozstąpiono się przed nim, zbliżył się do mnie i rękę swą do méj piersi przyłożył. Ah! ciepło téj przyjacielskiéj dłoni przenikło do głębi serca mego, i zrodziło w niém bicie. To bicie działało na całą moję istotę, krew zaczęła krążyć na nowo, nerwy zadrzały, a z oswobodzonéj piersi wydarło się kurczowe, ciężkie westchnienie; muskuły moje wyprężyły się jak liny okrętu na pełném morzu, odetchnąłem... Krzyk przestrachu, i te słowa, którem wyraźnie słyszał: »Żyje! żyje!« położyły koniec mojéj trwodze. Zgiełk i pomieszanie coraz się zwiększało; a ktoś zawołał: »Pan E* zemdlał; wynieście go, aby się z nim nie widział, jak powróci do zmysłów.« Wołanie, rozkazy, krzyk przestrachu coraz się bardziéj zwiększały. Zgiełk wkrótce doszedł do największego stopnia. Z wszystkiego co sobie przypomniéć mogę jest to, że mię wyjęto z trunny, i że przy roznieconym ogniu i w gronie poczciwych przyjaciół przyszedłem do życia.

Po kilku tygodniach wróciłem do zupełnéj czérstwości i zdrowia; mogę powiedziéć, żem śmierci z blizka zajrzał w oczy, że usta moje piły już z téj gorzkiéj czary, którą kiedyś aż do dna wychylić mi przyjdzie.

LIST PIĄTY
LUDWIKA BAŃCZAKIEWICZA.
(Dokończenie.)

Wszedłszy już na drogę opisywania przyjemności żeglarskich, muszę także opisać zdarzenie, które miało miejsce tego roku na wiosnę, na brzegach Ameryki, ale w którém szczęśliwie nie miałem przyjemności znajdowania się. Kupiecki okręt angielski wypłynął z Halifax w Kanadzie, udając się do Anglii; zaledwo był kilka dni w drodze, gwałtowny wiatr uderza weń i tak go przewraca, że ludzie z trudnością wydrapali się na tę część, co była nad wodą, tracąc nie tylko sposobność kierowania się, lecz oraz tracąc wszelką żywność, gdyż okręt przewrócił się prawie do góry nogami. W tym opłakanym stanie zostawali kilka dni, w nadziei, że może jaki okręt będzie przechodził tamtą stroną, i że jeszcze ocaleni być mogą; lecz gdy głód zaczął coraz mocniéj przyciskać, postanowili ciągnąć losy, kogo z pomiędzy siebie zjeść mają. Los padł na jednego majtków i ten poległ ofiarą ich apetytu. Jeden nie mógł trwać na długo, ciągniono drugi raz losy i znowu zjedzono jednego. Gdy tak bankietują, nareszcie jeden amerykański okręt odkrył ich i posłał łódkę, aby się zbliżyła i rozpoznała co to jest. Przybywszy łódka do okrętu zastała ich wszystkich, zebranych w jedném miejscu i zajadających resztki służącego kapitańskiego, zabitego przed parą dniami i kapitana, który już wyciągnął los i miał być

zjedzony jutro, wysysającego z największym smakiem czaszkę nieboszczyka lokaja. Wszyscy tak byli zajęci jedzeniem i tak obłąkani z pragnienia, że byli prawie na wpół pomieszanych zmysłów i nie widzieli przystępującéj łódki. Zabrano ich nareszcie na okręt i przywieziono do Ameryki. Jestto nie miła i raczéj oburzająca historyja i gdybyś WPDob. był damą, tobym mu tego nie pisał; lecz to, lubo tak okropne, jest zarazem prawdziwe, gdyż wiém o tém z pism publicznych z wymienieniem nazwisk; przytém nie jestto piérwszy przykład tego rodzaju, a do tego nasi Polacy, mieszkając daleko od morza, nie często miewają podobne wiadomości, tak, że nie sądziłem wzbudzić gniewu opisaniem téj katastrofy.

Teraz wracam się do opisania Santa-Crux. Jestto jedna z najmniéjszych, lecz razem z najbogatszych wysp w Indyjach zachodnich; położenie jéj niezmiernie piękne, jest żyzna, obfita we wszystko, a niebo tropikowe, dające inne życie i kolor caléj wegetacyi, jest tak różne od naszego, że nawet równać nie można. Otrzymawszy wiadomość, że silna eskadra francuzka przybyła do Indyj, w oczekiwaniu wojny ze Stanami Zjedn., nie mogliśmy zatrzymać się długo bez narażenia się na niebezpieczeństwo i popłynęliśmy do wyspy Ś. Tomasza, tylko dwadzieścia mil odległéj i także duńskiéj. Wyspa ta, jeżeli można, to jest jeszcze piękniéjszą ze swego położenia, lecz nie jest tak bogatą ze względu, że jest skalistą, i tylko handel znaczny ją utrzymuje. W połowie stycznia chodziliśmy gdzie indziéj w letniém ubraniu, i prawie zaraz po opuszczeniu Gibraltaru, lecz tutaj tak było gorąco, że w południe nie można się było na ulicę pokazać. Byłato właśnie pora do zbiérania trzciny cukrowéj, udałem się więc na jednę plantacyję, aby się temu przypatrzyć. Trzcina ma bardzo wiele cukrowéj substancyi, i Murzyni, pracujący około tego, jedzą ją surową, w tym smaku, jak my jémy czasem surową marchew lub rzepę. Sposób robienia z niéj cukru jest zupełnie ten sam prawie, jak u nas z buraków, rafineryja tylko, sądzę, że jest daleko więcéj wydoskonaloną. Korzyść z gruntu wydającego bawełnę lub cukier jest bardzo znaczna i w przecięciu przynosi 1000 złp. z morga; zbiór jednakże cukru bardzo jest niepewny i jeden rok w trzech za stracony uważać potrzeba, dla tego też bawełna, lubo trochę mniéj zyskowna, lecz dla pewności swojéj jest przekładaną; szczególniéj zaś ma to miejsce w Stanach południowych Ameryki północnéj, które lubo położone na równi z puszczami afrykańskiemi, nielitościwego upału doświadczając w lecie, zimową porą jednakże znacznego doznają zimna, a co nié ma miejsca w Indyjach, gdzie jest gorąco latem i zimą. Wyspa Ś. Tomasza jest sławną, jako niegdyś siedlisko jednego z najsławniéjszych Flibustyjerów (*les Boucanieres*), którzy napełniając strachem okoliczne osady, napadali nawet na miasta obronne w posiadłościach hiszpańskich. Nazwisko jego nie jest wiadome i znany jest tylko z przydomka *Czarnobrody*. Mówią, że pochodził z bardzo dobréj francuzkiéj czyli angielskiéj familii, lecz wpadłszy w złe towarzystwa, został nareszcie rozbójnikiem. Ruiny zamku jego, w którym żył po królewsku prawie, istnieją dotąd. Tam na łonie licznéj rodziny (miał bowiem zawsze kilkanaście żon obecnych, a jeźli którą zabił lub udusił, to zaraz liczbę zwykłą kompletował), używał w pokoju tego, co w boju zdobył.

Opuściwszy nareszcie i to miejsce, skierowaliśmy nasze drogę na północ, ku wielkiéj uciesze wszystkich na okręcie, każdy bowiem już był znudzony znajdowaniem się tak długo na morzu, i każdy, prócz mnie, pragnął być jak najprędzéj w uściskach to żony, to kochanki, to matki lub przyjaciela; ja z tego wszystkiego nic nie miałem, matka moja była oddalona o 6,000 mil ang. od miejsca, do któregośmy dążyli, żony... tak szczęśliwy nigdy nie byłem, a kochanki... oh! człowiek, co znał Polki i Hiszpanki, ten Angielek kochać nie będzie. Co się tyczé przyjaciół, o tych mniéj dbałem; młoda przyjaźń, jak młode wino, nie wiele warta; potém w Ameryce nié ma przyjaźni, tak jak my ją rozumiémy. Przyjaźń w tym zachodnim świecie jestto szacunek dwóch osób, mających w tém wzajemny interes i to najwięcéj pieniężny. Przyjemność z obcowania, lub szacunek dla osoby, nie są przyczynami dostatecznémi do szukania w Ameryce przyjaźni. O! w tymtu nowym świecie jest wiele i wiele pomysłów, które u nas nie bardzoby były pokupne; wygórowane samolubstwo, wyzucie się ze wszelkiego uczucia, gdzie osobistość nie jest interesowaną, to jest głównym rysem charakteru w nowo-żytnéj kupieckiéj rzeczypospolitéj!!

Błogosławione peryjodyczne wiatry niosły nas pędem błyskawicy ku brzegom Stanów Zjedn.; opłynęliśmy Florydę, i zaledwo mil 600 odlegli od portu, kiedyśmy się wkrótce być w nim spodziéwali, dobre wiatry pożegnały nas nagle, a silny północno-zachodni, który tu zwykle zimową porą panuje i ogromne spustoszenia w marynarce robi, powitał nas w całym blasku swego majestatu: grad, śnieg i mróz przeraźliwy, który z sobą przyniósł, poznać nam dały, że już nie jesteśmy w szczęśliwym tropikowym klimacie, gdzie nieprzerwane lato panuje, i że się zbliżamy do krain, mniéj od natury uposażonych. Mróz tym wiatrem sprawiany jest niewymownie przenikliwy i mocny. Wiatr ten, wiejąc od bieguna północnego, przez ogromne massy lodów, formowanych przez Ocean lodowaty, nabiéra wysokiego stopnia zimna

a nie znajdując żadnego uporu, żadnych przeszkód, całą swoję wściekłość wywiera na Ocean, i na nieszczęśliwych, którym zdarzy się być na jego drodze. Zimno to jest tém bardziéj przykre dla okrętów, przychodzących z ciepłych krajów, gdzie może zostawały trzy lub cztéry lata, i osada od mrozu odwykła; dla tegoteż wszyscy unikają powrotu w zimie, ci zaś, co są mniéj ostrożni, odbiérają częstokroć zapłatę za swoję zuchwałość; majtki poodmrażawszy ręce i nogi, nie są w stanie pełnić swéj powinności, a co gorsza, iż liny i żagle tak stwardnieją, że ich wcale użyć nie można i okręt jest prawie na łasce bałwanów. W ciągu téj naszéj walki z wiatrami mieliśmy doświadczenie szczególnego zjawiska natury, znanego pod nazwiskiem: prądu mexykańskiego. Prąd ten, wychodząc z golfu mexykańskiego, płynie pod brzegami Ameryki północnéj, w kierunku północno-wschodnim, około mil 3000, szybkością 3 do 4 mil ang. na godzinę. Co go sprowadza, dotąd nie jest wiadomém. Woda w tym prądzie, wychodząc z pomiędzy tropików, wystawiona na ciągłe działanie słońca, utrzymuje się zawsze między 20 — 25 Reaumura, i przychodząc nagle w strefy północne, przedstawia ciekawą sprzeczność zimi i lata, gdzie atmosfera, będąc 20 do 25 Reaum po niżéj zera, a woda 20 lub 25 po wyżéj, sprawia ciągły dym, pochodzący z pary, która się ulatnia z prądu i para ta jest tak zgęszczoną, że na kilkanaście kroków nic widzieć nie można Ten nieznośny wiatr trwał blizko dwadzieścia dni i zimno tak mi dokuczyło, że poprzysiągłem sobie nigdy się więcéj nie zbliżyć w zimie na brzegi Ameryki północnéj. W wiliję naszego wejścia do portu mieliśmy nieszczęście utracić córkę komodora Peterson, panienkę bardzo dobrze wychowaną i piękną, lecz cierpiącą od niejakiego czasu i zdaje mi się, iż mroźne wiatry i burze musiały niekorzystnie wpływać na jéj pieszczone zdrowie.

Nareszcie d. 16. lutego zawinęliśmy do Norfolk w Wirginii, najlepszéj przystani, jaka jest w Stanach Zjedn.; a w parę dni potém wsiadłem na statek parowy, aby się udać do Nowego Jorku, a tam wziąć pakiet, i odpłynąć do Ameryki południowéj, jak to zawsze było moim zamiarem. Lecz spotkałem przypadkiem w Baltimore znajomego, któregom się tu nigdy znaleźć nie spodziéwal; ten namówił mię, że zostałem się jeszcze czas niejaki w Ameryce, i jestem teraz umieszczony jako inżynier przy budowie drogi żelaznéj z Baltimore do Jorku, odległość 12 mil polskich, lecz w niezmiernie górzystym, skalistym i połamanym kraju, dość powiedzieć, że w połowie drogi mamy góry 800 stóp nad powierzchnią morza, dokądeśmy poprowadzili drogę. Czytałem w gazetach, że w Państwie Austryjackiém, a nawet w Galicyi mają zamiar budować koleje żelazne, mocno mnie to cieszy; to będzie miało nieoceniony wpływ na pomyślność kraju; gdyby mnie chciano w Galicyi umieścić, poszedłbym z chęcią tam drogi budować. Tutaj jest prawie manija robienia dróg i kanałów, jest ich sto przedsięwziętych, a drugie sto zamierzonych i wstrzymanych jedynie dla niedostatecznéj liczby dobrych mierników; wszystkoto dzieje się tu przez stowarzyszenia prywatne, które otrzymują upoważnenie do budowania drogi, kanału i t. p. od właściwéj władzy. Naczelni miernicy są bardzo dobrze płatni, zwykle pobiérają od 15 do 16,000 reńskich srébr. na rok, a to nie są starcy, którym dają chléb wtedy, kiedy go już jeść nie mogą, ale ludzie 30 lub 35 letni; przyboczni miernicy są płatni stosunkowo i mając parę lat doświadczenia i przyjaciół, można otrzymać naczelnictwo. Po tém należy się uważać Amerykanów za nadzwyczajnie i niezrównanie liberalnych, bo jakiegokolwiek narodu człowiek między nich przychodzi, jest przypuszczonym do używania wszelkich przywilejów, których oni sami używają. Jeżeli umié co, jeźli ma talenta, może prędzéj z nich użytkować, a niżeli nawet może we własnym kraju, gdyż u nich wszystko jest dla wszystkich otwarte.

Wracając się jeszcze do kolei żelaznych ciekawym, co będzie za koszt jednéj mili polskiéj w Galicyi lub Austryi? i jak spiesznie będzie szła robota? Ta droga, przy któréj jestem, będzie kosztowała 800,000 złłp. na milę polską; i to jest zwykła cena tu w Ameryce od 800,000 do miliona złłp., stosownie do położenia; lecz koszt w Galicyi będzie się miał zapewne do tutejszego jak 9 do 1; tutaj albowiem płacić musiemy prostych robotników kopiących dziennie od 9ciu do 12 złłp., gdy w Galicyi pewnie dostałby ich wieleby tylko chciał za 1 zł. pol.; w tym stosunku są także wydatki na inżynierów, mosty, żelaza, machiny i t. d. My tu stosujemy się do angielskich, a szczególniéj do Liwerpolskiéj i Manszesterskiéj drogi, gdyż ta uważana jest za najlepszą i nie puszczamy się więcéj jak 5 mil pol. na godzinę, lubo 15 mil machina jest w stanie zrobić z podróżującémi, tylko że to jest nader niebezpiecznie, gdyż najmniéjszy wypadek, o które i tak nie trudno, mógłby przyprawić o śmierć 300 lub 400 osób, co jest zwykła liczba podróżnych na jeden raz. Wystawmy więc sobie, jakbyto było dobrze, jeździć do Lwowa lub Wiédnia w ten sposób; jednego dnia możnaby odbyć podróż, i wysiadłszy z pojazdu, nawet nie czuć, że się podróżowało, bo się jedzie jako najlepszą sanną; a cóż dopiéro jakbyto pszeniczka płaciła, a kury, kurczęta, jaja, masło, wołowina i tysiąc rzeczy innych; wszystkoby można dzisiaj na jutrzejszy targ do Wiédnia posyłać; lecz

w takim razie Galicyjanie powinni się raz pokazać przemyślnymi, założyć społeczność dla wybudowania we Lwowie parowego młyna na wielką stopę, i zasypać Kraków, Warszawę i Wiedeń mąką podolsko-galicyjską. Po téj cenie, po jakiéj Galicyja może przedawać mąkę podobną, żadna inna prowincyja daćby jéj nie mogła, zkąd wypływa, żeby nie było współzawodnictwa. W takim razie nicby nie było dziwnego, gdyby mąka galicyjska znalazła swą drogę do Gdańska, a ztamtąd do Ameryki i do Indyj. Szlachta galicyjska powinnaby raz zrozumieć, że nie tylko Anglija jedna może potrzebować zboża, i że skoro Anglija ustanowiła prawa zabraniające przywozu zboża zagranicznego, to już nie ma kupca na nie. Grubato jest pomyłka, pochodząca, iż wzrok naszych Polaków nigdy daléj nie sięga, jak do granic Europy, lubo i to często w fałszywém świetle; ale co się dzieje za Europą, kto tam mieszka, czém żyje, to jest im zupełnie obojętne. Ustanowienie młyna parowego w Warszawie, i oświecone głowy, które były na czele banku polskiego, zrozumiały dobrze, że Polska ma skarby, które tylko trzeba pokazać, aby zwabić miłośników, lecz szlachta nie zrozumiała tego, nie wsparła usiłowań rządu i najpiękniéjsze nadzieje upadły!... Komu się pierwszemu uroiło w głowie, że mąka parowego młyna niedobra, i że mąki nie można wodą, a szczególniéj morzem przesyłać, powinien być wsadzonym do domu obłąkanych, a nazwisko jego powinno być równie zakazaném wymawiać, jak niegdyś podpalacza świątyni Dyjanny w Efezie. Zboże potrzebném jest we wszystkich Stanach południowych zjednoczonéj Ameryki, gdzie przekładają uprawę trzciny cukrowéj i bawełny, jako nierównie korzystniéjszą. Dowóz więc cały zboża jest dla nich ze środkowych i północnych stanów Ameryki, gdzie się trzcina i bawełna nie udają, i gdzie pszenicę i żyto siać muszą. Nadto zboża potrzebują, i to w wielkiéj ilości, w całych Indyjach zachodnich, gdzie zboże się nie udaje dla zbytniego upału, i nie jest zasiewane dla powyższych przyczyn, że mogąc sadzić i zbiérać rzeczy droższe, mniéj dbają o pośledniéjsze. Zboża potrzebują w Boliwii i w całém Peru, gdzie z powyższych przyczyn, i ztąd, że mają nieprzebrane prawie kopalnie srébra i złota, mało się troszczą o uprawę gruntów, wiedząc, iż zawsze znajdą takich, co im przywiezą chleba za dukaty; a nareszcie zboża potrzebują w znacznéj części Azyi. Co się tycze dawnego sposobu wywożenia zboża w ziarnie, chwila rozwagi przekona, iż to jest zupełnie śmieszném, i bez rozważném, i podobném do tego, ktoby potrzebującemu gotowych sprzętów domowych posyłał nieociesane drzewo. Jestto tylko nadaremny ciężar i zabranie miejsca, i kupiec, który musi mleć dopiéro i płacić robotnikowi po 10 złp. na dzień, musi w ocenieniu zboża być oszczędnym; gdy tymczasem zemleć u nas możnaby za dziesiątą część wydatku, a kupiec musiałby stosownie do miejscowéj ceny zapłacić. W Ameryce północnéj, tam gdzie się zboże rodzi, beczka mąki, ważąca 196 funt., kosztuje zwykle od 10ciu do 12stu reńskich srébr.; tę mąkę przedają w południowych stronach po 20 do 22 reń. sr.; w Indyjach i w Ameryce południowéj po 30 reń. sr. i wyżéj. Pytam się, coby u nas kosztowała?... ani połowéj tego, a wydatek przewozu jest hagatelą. W tym roku z powodu ciągłych deszczów przez kilka tygodni trwających zboże ucierpiało niezmiernie, i w miejscu, gdzie się teraz znajduję, to jest w Maryland, a które jest zbożowym krajem, cena mąki poszła w górę z 12stu na 19scie reń. sr.; wystawić więc sobie proszę jaka będzie cena w miejscach, które cały dowóz ztąd mają, bo Maryland, jak namieniłem, obfituje w zboże, równie jak i w wodę i ma mnóstwo młynów, przezco jest składem ogromnych zapasów zboża i domowego i przychodzącego z pogranicznych prowincyj zbożowych. Lubo tak pomyślne są ceny za granicą, w Galicyi panuje bezcenność, a i trudność przedaży; profitować z tego nie można, dopóki niebędzie drogi żelaznéj, lub kanału prowadzącego do morza, gdzieby można obliczyć z pewnością dzień i godzinę, kiedy płody staną na miejscu, i co będzie kosztował przewóz. Dopóki nie będzie bezpieczeństwa w dostawie, i dopóki jedyny przewóz będzie Wisłą, którato rzéka lepiéjby zrobiła, gdyby zupełnie wyschła, lub jakimkolwiek sposobem płynąć przestała, to dopóty rolnik za swoje trudy i za swój kapitał wynagrodzonym nie będzie.

DONIESIENIA LITERACKIE.

W Warszawie wyjdzie wkrótce dzieło: *O fabrykacyi cukru z buraków*, wydane przez P. Józefa Bełzę, profesora chemii i technologii w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie; wyjdzie ono nakładem Gustawa Sennewalda, przy ulicy Miodowéj, i obejmować będzie: »Dokładny opis buraków i w szczegółach fabrykacyję cukru, do naszego kraju zastosowaną, podług najnowszych autorów, chemików i fabrykantów zagranicznych.« (Tyg. rol. tech.)

W ostatnim numerze wydawanego w Petersburgu w polskim języku pisma: *Bałamut*, umieszczone jest oznajmienie, że pismo to wraz z końcem bieżącego roku ustaje, z powodu tak nielicznéj prenumeraty, iż ta nie wystarcza na koszta druku. (T. P.)

W księgarni Teodora Szerka w Poznaniu będzie wychodzić w języku polskim od 1. listopada r. b. zeszytami miesięcznémi, pięcio lub sześcio arkuszowémi: *Magazyn powieści dla dzieci*. (G. C.)

We Wrocławiu u Wilhelma Bog. Korna, najzasłużeńszego z naszych typografów, wyszedł témi czasy przedruk *Biblii starego i nowego testamentu Wujka*; wydanie to jest bardzo ozdobne na welinie, w słownikowym formacie, z dwoma rycinami na stali.

Z tamtąd daléj donoszą: »Szląsk utraci jednę z najpiękniejszych bibljotek swoich, przez zapowiedzianą na d. 24. października b. r. przedaż bibljoteki z majoratu hrabiów Węgierskich, zachowanéj dotychczas w Pilchowicach w Szląsku wyższym, a składającéj się z 15,000 tomów. Licytacyja odbędzie się we Wrocławiu. Drukowany spis téjże obejmuje 613 stronic.«

* * *

Literatura francuzka. Najnowszy romans: *La couronne des épines* (Wieniec cierniowy), przez Michała Masson (Raymonda), tak się udał szczęśliwie, że w przeciągu dni ośmiu dwie edycyje rozkupionémi zostały. Teraz przedrukowują po raz trzeci, spodziéwając się najlepszego odbytu. — W Belgii z nadzwyczajną czynnością przedrukowują dzieła autorów paryzkich, i tak najnowszy dramat Alex. Dumas'a: *Kean*, wyszedł tam na widok publiczny pierwéj, nim autor miał czas powierzyć swój rękopis któremu z paryzkich księgarzy. — Balzak'a nowy romans: *Le lis dans la vallée* (Lilia w dolinie) wyszedł we 2ch tomach. — Poezyje Jana Reboul, piekarza z Nimes, z przemową Alex. Dumas'a, powszechne uwielbienie zyskały u francuzkich krytyków; przyznano im bowiem wyższe stanowisko w literaturze nad płodami szewca Dezoteux z Pas-de-Calais, i stolarza Adama z Nevers, tych 2ch rzemieślników, słynących swoim talentem autorskim.

Podług rozprawy Bibliofila Jakob (Lacroix), umieszczonéj w *Revue de Paris*, ową tajemniczą osobę, znaną pod nazwiskiem: Żelaznéj maski, miał być jeneralny intendent Fouquet.

Baron Alibert w szpitalu Sgo Ludwika w Paryżu miewa teraz odczyty o chorobach skóry, na które mnóstwo słuchaczy uczęszcza. W ostatniéj swojéj prelekcyi dowodził on bardzo przekonywającym sposobem, że zapuszczanie faworytów pod brodę wielce jest szkodliwe

dla zdrowia, i że może dać powód do słabości skórnéj, która zwykle bardzo się rozszérza. Rozporządzenie ministerstwa wojny, uchwalające noszenie tylko wąsów i podgolonych faworytów, zyskało najwymowniéjszą pochwałę uczonego profesora.

Córka zamordowanego w blizkości Madrytu jen. Quesady, znajduje się w zakładzie naukowym płci żeńskiéj w Paryżu. W czasie ostatniego wydzielania nagród, kiedy imię jéj wymieniono głośno, zrobiło to boleśne na obecnych osobach wrażenie, którym w myśli stanął nieszczęśliwy koniec jéj ojca.

Następujące, cokolwiek melodramatyczne, albo raczéj cyrko-olimpijskie zdarzenie przytrafiło się nie dawno w Paryżu: Hrabia C* założył się, że koń jego przeskoczy przez stół okrągły na 40 osób nakryty, nie naruszywszy niczego. Porobiono ogromne zakłady; lecz gdy nie znalazł się żaden z żokiejów, któryby się odważył na ów skok zuchwały, hrabia C* oświadczył, iż sam konia dosiędzie. Żona jego, usłyszawszy to przedsięwzięcie, starała się go odwieść wszelkiemi sposobami; lecz hrabia odrzekł, że tu o jego honor idzie. Hrabina po daremnych usiłowaniach wieczór przed wykonaniem zakładu, wziąwszy parę pistoletów, udała się do stajni i zastrzeliła nieocenionego rumaka. Poczém przyszła do męża i rzekła: »Mężu mój, matka twoich dzieci zastrzeliła ci konia.«

W więzieniu galerowém Rochefort odbyło się piérwsze stracenie przez gilotynę — bo dotąd zwyczaj był we Francyi wszystkich skazanych na śmierć więźniów galerowych zastrzeliwać z tyłu!

W Zjedn. Stanach Ameryki półn. dano patent na następujący, wielce pożyteczny wynalazek: Podeszwy do trzewików robią się albo z tkaniny konopnéj, albo z lipowego łubu. Wyższą część obówia można dawać z jakiéj kto chce materyi, i wykładać płutnem albo bawełnianą tkaniną. Podeszwy zaś, aby przez nie nie przeciekała woda, powlekają się następującą mieszaniną: Do kwarty oleju lnianego daje się 4 łuty żywicy, łut białego witryolu, i razem gotuje się pół godziny. Poczém bierze się 8 łutów spirytusu terpentynowego i cztéry łuty miękkich trocin dębowych, wystawionych na słońce przez 24 godzin, to wszystko miesza się, i służy za pomocą szczotki do powleczenia podeszew, które tym sposobem nie będą przepuszczać wody.

W Kolumbii damy nową zaprowadziły konfiturę, która zapewne w Europie zwolenniczek nie znajdzie, a tą jest: sok z tytoniu. Z liści téj rośliny wyciska się sok, który się potém zgęszcza, jak galareta, i układa w pudełkach. Każda z modnych dam nosi z sobą takie pudełko, i od czasu do czasu łyżeczką nabiéra tego przysmaku, który się w ustach rozpływa. Ile się zdaje wszelka gorycz odjętą bywa temu sokowi, a natomiast dodaje się zaprawa z cukru lub korzeni. Przysmaczek ten zowią tam *moo* albo *chimoo*.

Gazeta Wiejska pisze: »Prawda wychodzi jak oliwa na wiérzch; pokazało się, że ów cholerą sprzątniony ze świata, ów okrzyczany walców-kompozytor Strauss, żyje w Wiedniu w najlepszém zdrowiu. Co więcéj, zawarł on *akord* ze śmiercią, na mocy którego posyłać jéj będzie co roku połowę swoich tancerzy walcowych. Dotąd śmierć bardzo na tém przymierzu wychodziła zyskownie.«

Podczas ostatnich wyścigów konnych w Goodwood występował *jokej*, może najlekszy ze wszystkich żokejów na świecie, nie waży bowiem więcéj nad 43 funty.

W miasteczku Malenesbury, nie daleko Londynu, zdarzył się następujący pocieszny wypadek: Jakiś młody, porządnie ubrany mężczyzna zasiadł za stołem na placu targowym. Przed nim leżały ogromne kupy złota, które przesypując, wołał do zdziwionego tłumu: »Prawdziwe luidory, sztuka po 6 penców (18 kr.); kto kupi? Spieszcie się panowie i panie, bo nie wystarczy dla wszystkich!« Z początku przedaż nie szła najlepiéj, każdy się obawiał kupić fałszywego luidora; lecz jakiś człowiek, zapłaciwszy za sztuk kilka, wziął na stronę kilka osób ciekawych, i rzekł półgłosem: »Jakże nieszczęśliwy jestem, że nié mam więcéj pieniędzy ze sobą! Człowiek sprzedający te luidory jest ajentem bogatego kapitana Berkley, który założył się o niezmierną summę z bankierem Ross, że w ciągu godziny nie rozprzeda 12,000 luidorów po 6 penców. Oto już kwadrans upływa, a ja nié mam czasu pójść do domu po więcej pieniędzy.« Na tę powieść mnóstwo osób rzuciło się na zakupienie luidorów, a młody ów człowiek zdawał się rozpaczać na widok tak nagłéj sprzedaży swego towaru; co tém więcéj utwierdzało w wierze kupujących. Oszukaństwo nie długo jednakże trwało, bo jakiś złotnik odkrył, że taki luidor nie wart i jednego penca. Rozgniewana tłuszcza rzuciła się na oszustów, którzy oprócz zarobionych pieniędzy stracili nawet i swoje fałszywe.

Angielskie dziwactwa w Szwajcaryi. Pewien Anglik umyślnie podróżował do Szwajcaryi, aby tam jadł poziomki, inny znowu, aby w tamecznych jeziorach ryby na wędkę mógł łowić. Krąży powieść o jakimś lordzie, który umyślnie pojechał do Szwajcaryi, aby szukać niebezpieczeństw życia. Jakoż puściwszy łódź próżną w szumiące fale wodospadu Renu przy Szafhuzie, gdy takowa z wrzących bałwanów na wiérzch wyrzuconą została, przyszło mu na myśl usiąść ze swoim służącym w drugie czółno i puścić się z wodospadem, lecz nie był tak szczęśliwy, jak łódź piérwsza; bo ani śladu nie znaleziono z szalonych żeglarzy. Inny znowu Anglik, w lecie tego roku, postanowił zjednego do drugiego górzystego kantonu przejść prostą drogą, i dokonał swego, kazawszy się spuszczać i wyciągać z przepaści w przepaść. Nie daleko Chamouni widać ogromną bryłę skalistą, którą nie dawno pewien Anglik za 375 talarów kupił, nie nato jednak, aby ją z miejsca ruszyć, co byłoby rzeczą nie podobną, lecz aby kazać w niéj wykuć swoje nazwisko, herby, i drzewo rodowodowe.

Olbrzymi wieloryb. Kościoskład (szkielet) największego wieloryba, widzianego dotąd, wystawiony jest na widok w Frakforcie n. M. Długość jego wynosi 95, wysokość 18 stóp. Głowa długą jest 22 stopy, ogón ma szérokości 21 stóp. W głowie urządzona jest czytelnia, gdzie 30 osób wygodnie siedzieć mogę; *album* tam znajdujące się zawiera imiona kilku monarchów, książąt panujących i znakomitych osób, które oglądały ten potwór. W brzuchu mieści się orkiestra ze 24 muzyków, wykonywająca kawałki z najsławniejszych oper i nawet całe koncerta. Kupno i koszta rozczłonkowania tego olbrzyma wynosiły 60,000 złreń. hol. Naturaliści z rozbioru kości wnieśli, iż zwierzę to przestało żyć ze starości; a sławny Cuvier mniemał, iż żyło około tysiąca lat. Byłato samica; piersi jéj i inne części płciowe zachowane są w wyskoku i pokazują się oddzielnie.

Dziennik frankfortski wyraża się w ten sposób z powodu przybycia wieloryba: Największa *bestia* w Europie znajduje się teraz w Frankforcie. Zaiste, w życiu naszém nie jednąśmy ogromną widzieli *bestię*, lecz ta tém się różni od *tamtych*, że nié ma daru mówienia. Olbrzym ten zapewne objedzie Europę, a potém zapewne skończy na umieszczeniu się w jakowém muzeum. Wzywamy z góry uczonych na przyszłość posiadaczy tego wieloryba, aby we wnętrzu onego założyli gabinet historyi naturalnéj i nie zapomnieli o słoniu, który tam bardzo wygodne znajdzie pomieszczenie.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.